

Fabrice Hadjadj: A w przerwach trochę kina... albo o tym, że seks jest zjawiskiem zanikającym

Nazwy płci gramatyka klasyfikuje jako relacyjne, wyrażające cechy niezmiennie, podobnie jak „ojciec” i „syn”. Tak jak syn nie może istnieć bez ojca, płć nie istnieje bez drugiej płci



Nazwy płci gramatyka klasyfikuje jako relacyjne, wyrażające cechy niezmiennie, podobnie jak „ojciec” i „syn”. Tak jak syn nie może istnieć bez ojca, płć nie istnieje bez drugiej płci - przeczytaj obszerny fragment książki Kobieta i mężczyzna. O mistyka ciała, która ukazała się nakładem wydawnictwa W Drodze

Wtedy brało go na przepowiadanie przyszłości:
„Ja dobrze wiem, jak ta przyszłość będzie wyglądała... Jedna wielka i niekończąca się orgia... A w przerwach trochę kina...
Wystarczy popatrzeć na to, co się już teraz dzieje...”[1]

Rygoryzm orgii

O ile „prawdziwa moralność drwi sobie z moralności”[2] o tyle amoralizm traktuje ją stanowczo zbyt serio. Kiedyś chciałem być bardziej amoralny niż sam diabeł. Potępiałem przede wszystkim judeochrześcijańskie reguły, jako represyjne i wsteczne. Pewnego dnia, kiedy ciskałem gromy na jakiegoś „kołtuna”, za jego moralizatorstwo, ów kołtun rozłożył mnie na łopatki nie subtelną repliką, lecz odzywką rodem ze szkolnego boiska: „skarży na innych, ten kto sam winny!”. Nie mogłem nie przyznać mu racji. Przecież właśnie w najlepsze moralizowałem. Szafowałem wyrokami o wiele skwapliwiej niż ci, którzy stanowili obiekt mojej krytyki. Nie zdawałem sobie sprawy, że narzucam moralność, która prawdopodobnie jest najbardziej rygorystyczną z możliwych.

Anarchista, jeśli jest konsekwentny w swoich działaniach, zaczyna od protestów przeciwko narzuconym normom, a kończy na podrzucaniu bomb. Nie zdaje sobie sprawy, że jest wyznawcą określonej moralności. Jest przekonany, że walczy o wyzwolenie. Czy można przeciwstawić się jego misji, nie uchodząc w jego oczach za człowieka zaślepionego lub kierującego się złą wolą? Sprzeciw wobec dążenia do absolutnej wolności uważa on za zbrodniczą aberrację. Wyobraźmy sobie, że nasz anarchista zostaje ojcem. Jeśli tabula rasa zastąpi w jego domu tablice z

przykazaniami, wobec dzieci okaże się bardziej opresyjny niż inni rodzice. Jego dorastający syn chciałby spróbować swoich sił, szarpiąc pętający go łańcuch zakazów, pchając stalowe drzwi lochu. Co ma jednak robić, jeśli jego więzy są z waty cukrowej, a loch, w którym się znalazł, jest niewidoczny i nieuchwytny jak powietrze, którym oddycha? Prostolinijny mentor buduje zasieki, które widać wyraźnie. Można krytykować wąskość jego horyzontów, marzyć o wyrwaniu się na wolność, szczycić się bliznami nabytymi w walce. Bywa zresztą, że moralisci okazują się zadziwiająco łaskawi. Trafiają się wśród nich Escobarowie, podobnie jak wśród zwolenników amoralizmu niemało jest Torquemadów. Tym, co pociąga nas w amoralizmie, jest jego charakter totalny. Jego głos, potężny i nieznoszący sprzeciwu, w którym słyszemy jakby echo boskiego majestatu, sieje popłoch wśród mrowia kulawych norm, sztywnych reguł i bladych konwencji...

Nie tracę nadziei, że pewnego dnia będę amoralny. Moralności, a zwłaszcza pewnej moralności seksualnej, pokażę figę. Zdaję sobie jednak sprawę, że przede wszystkim w tej dziedzinie należy mieć się na baczności, żeby nie kupić kota w worku. Zdarza się, że pod nęcącą etykietką obyczajowej rewolucji wciskany nam jest zakurzony relikwiarz moralności, pasujący w sam raz do Muzeum Antropologii. W dawnych czasach młodzieniec z dobrego domu narażał się na surową reprimendę, jeśli nie uczęszczał na orgie. I nic dziwnego – zasługiwał na naganę, gdyż był bezbożnikiem i w dodatku samolubem, który myślał tylko o sobie, w nosie mając rytuały gwarantujące pomyślność przyszłych zbiorów. Jeśli nasz młodzieniec należał do najwyższej kasty, postępował niegodnie, wymigując się od kazirodztwa. Wszak, jako Ptolemeusz, miał obowiązek poślubić własną siostrę, aby zachować czystość królewskiej krwi. W innej części świata starszyzna zakładała specjalne domy, w których młodzi ludzie mieli współżyć płciowo, nieustannie wymieniając się partnerami. „Jeżeli któraś z dziewcząt

będzie stale sypiać z tym samym chłopcem, przeczuwamy, że w naszą egzystencję wkradnie się chaos”[3]. Nadmierne przywiązanie do jednego partnera to skłonność, którą należało eliminować w zarodku, aby zły przykład się nie upowszechnił, zagrażając spójności społeczeństwa. Czy trzeba dodawać, że miłosne uściski pomiędzy mężczyznami były w dobrym tonie? Stanowiły przecież formę miłości uszlachetnionej, bo wolnej od fizjologicznego obciążenia prokreacją. Jeśli młodzieńca nie pociągały wdzięki brodaczy z gimnazjonu, ojciec i matka mieli poważny powód do zmartwienia. Co wyrośnie z ich syna? Nieokrzesany dzikus, bestia?

Czy będzie można mu zaufać, skoro nie potrafi powściągnąć zainteresowania samiczkami? Przecież dawni mistrzowie uczyli, że pieśczoty oralne to gest szlachetnej wielkoduszności, którą wypada okazać przyjaciołom:

I wśród mieszczan ogładzonych
Poniekórzy wzajem sobie
Dobrze życząc i niezłomną
Obdarzając się ufnością
Taki fawor sobie czynią[4].

Jeśli nasz młodzieniec był żonaty, musiał pamiętać o elementarnych zasadach gościnności. Okryłby się hańbą, gdyby nie użyzył swojej małżonki zdrożonemu mnichowi, który zatrzymał się na nocleg pod jego dachem. Czytał przecież w *Lingua Purâna*, że „każdy podróżny jest obrazem Shivy i wszystko do niego należy”. Jeśliby zaś uczynił swoją małżonkę brzemiennej, religia uczyła, jak należy postąpić wobec niej:

„na wyspie Formozie religia nie pozwala kobietom rodzić przed trzydziestym piątym rokiem życia: przed tym wiekiem kapłanka depce im żywot i przyprawia o poronienie”[5].

Tak wyglądały niektóre z norm moralnych dawnych czasów. Takie same mogą powrócić dzisiaj. Choć skryte pod maską emancypacji, są wsteczne i zachowawcze, na dodatek pozbawione już uroku nowości. Takie wnioski nasunęła mi lektura naukowych dzieł z dziedziny etnologii historii (podobnie jak wielu Żydów, kiedy zaczynałem studia, lepiej znałem obyczaje ludu Nambikwara niż te obowiązujące w synagodze). Spojrzenie w przeszłość pozwoliło mi zrozumieć, jak złudna jest wizja przyszłej swobody, a także dojrzeć coś jeszcze: rewolucyjność przekazu chrześcijaństwa, który osiemnaście wieków przydusiło ciężarem rutyny.

Wyobraźmy sobie zbuntowanego nastolatka, który swój sprzeciw wobec zastanego porządku traktuje wyjątkowo poważnie. Nie nęci go moralizm w żadnym wydaniu. Syreni śpiew purytanizmu nie zdoła go uwieść. Jest też dość silny, aby nie pozwolić się spętać przez rygorizm orgii. Będzie wierzgał zarówno przeciwko usankcjonowanej społecznej akceptacji rozpuście, jak i przeciwko tradycyjnej, ślubnej nudzie. Ale kto wie, czy nie pociągnie go zgorszenie objawienia. Czy nie uwierzy, że najwspanialsza przygoda, którą może przeżyć człowiek, rozgrywa się w małżeństwie, a dziewictwo jest najbardziej wyzwoloną spośród form życia seksualnego.

Bomba w bikini

Napisałem, że możemy się doczekać powrotu dawnego, zakurzonego moralizmu, który powitamy jako niosącą wyzwolenie nowość tylko dlatego, że mamy krótką pamięć. Nie miałem do końca racji. Tak naprawdę, nie będzie nam dane przeżyć bachanaliów, jakie znali nasi przodkowie. Poruszające doświadczenie zbiorowych uścisków, w radości i we krwi, po złożeniu ofiary ku czci boga Priapa, nie stanie się naszym udziałem. Jesteśmy już zbyt znużeni, zbyt ociężali. Strzała czasu, raz wystrzelona, nie może się cofnąć. Biegu historii odwrócić się nie da. Na dowód mamy bikini. Mało który przedmiot wzbudza taki lęk przed nieodwracalnością czasu. Czas dzieli się na przed i po bikini. Wyraz „monokini” opiera się na fałszywej etymologii, mającej ukryć nasze zmieszanie wobec dekonstrukcji kostiumu kąpielowego. Sugeruje, że „bikini” to połączenie łacińskiego prefiksu „bi” z egzotycznym słowem mającym zapewne oznaczać skrawki materiału. Jednak w dniu wielkiej premiery bikini, piątego lipca 1946 roku na basenie Deligny, nikt spośród widzów, którzy tłoczyli się, by podziwiać Micheline Bernardini prezentującą „najbardziej skąpy kostium świata”, nie popełnił tego etymologicznego błędu. Każdy wiedział, że jest świadkiem zjawiska bliższego próbom jądrowym niż pokazowi mody. Twórca bikini, Louis Réard, był z zawodu inżynierem. Co prawda jego specjalnością była mechanika samochodowa, ale jeśli weźmiemy pod uwagę bliski związek samochodów i kobiet w marzeniach niejednego mężczyzny, nie zdziwi nas, że wziął na warsztat tradycyjne trykoty, by stworzyć kostium na miarę swoich czasów. Prekursor Réarda, Jacques Heim, pierwszy dwuczęściowy kostium nazwał „Atome”. Rozumiejąc, że ludzkość definitywnie wkroczyła w erę atomową, Réard nadaje kreacji złożonej z trójkącików materiału połączonych tasiemkami nazwę atolu w archipelagu Wysp Marshalla, gdzie Amerykanie przeprowadzili właśnie próby z bronią jądrową.

Nagasaki nie wystarczyło naukowcom do wyciągnięcia dostatecznie daleko idących wniosków. Nowe testy miały tę przewagę, że wykazały zabójczy wpływ pyłów radioaktywnych nawet na osoby znajdujące się w znacznej odległości od miejsca wybuchu. Operator radia z kutra Lucky Dragon 5, Akichi Kuboyama, poniósł śmierć w wyniku napromieniowania, zaś Louis Réard zrozumiał, że może odnieść sukces. Nadając swojemu krawieckiemu wynalazkowi nazwę kojarzącą się z atomowym wybuchem, kierował się zapewne względami handlowymi. Jego intuicja miała jednak moc przepowiedni, gdy usankcjonował skojarzenie, które zaczynało się już kształtować w zbiorowej wyobraźni. Oto pyły radioaktywne mogą dotrzeć aż na nasze plaże, cała ludzkość może się smażyć, tym razem od środka, w nowym słońcu. Bikini jest jak „skradziony list”. Fakt, że rzuca się w oczy, sam w sobie jest kamuflażem. Bikini obnaża ciało po to tylko, żeby ukryć atomowy grzyb. Nazwa stroju uszytego z maleńkich skrawków materiału wpisuje się w ogólny wysiłek minimalizowania katastrofy[6]. Amerykanie nazywali swoje bomby „Little boy” czy „Granpa”, jak gdyby były pocziwcami, których można przyjaźnie poklepać po plecach przy rodzinnym grillu. Réard inauguruje skojarzenie odwrotne. Już nie chodzi o to, by miłym imieniem nazwać śmiercionośną bombę, lecz by miła dla oka plażowiczka stała się „seksbombą”.

W latach sześćdziesiątych, kiedy Ursula Andress wynurzyła się z morskiej piany odziana jedynie w kremowe bikini, ze sztyletem u boku (Doktor No), nowe znaczenie czasownika „rozerwać się” [franc. *s'éclater*] zaczęło określać sposób pojmowania, czym jest przyjemność zmysłów. Wśród wyrażen pochodzących z angielskiego, również mających wybuchowy źródłosłów, pojawił się *gangbang*, jako określenie rozrywki modelowej. Do 2006 roku oficjalny rekord w tej dziedzinie należał do Lisy Sparxxx z Kentucky, która w ciągu doby odbyła zbliżenie

płciowe z dziewięciuset dziewiętnastoma partnerami. Jednak w marcu 2006 roku zdezonizowała ją Francuzka używająca pseudonimu Hasdrubald, dochodząc do tysiąca dwustu dwudziestu jeden partnerów. Czyż zjawisko to nie powinno być ujęte w programie szkół handlowych? Chodzi tu przecież wyłącznie o wysokość obrotu. Don Giovanni, który samych tylko Hiszpanek uwiódł „tysiąc i trzy”, był zaledwie rzemieślnikiem. Zwracał uwagę na piękno rysów twarzy, dostrzegał takie szczegóły, jak odcień kobiecej skóry. Mało tego, poświęcał czas, aby cierpliwie rozbudzać namiętność tych starszych i oziębłych, wszystko dla „satysfakcji wydłużenia listy”. Wraz z pojawieniem się *gangbangu* sfera płciowości wkroczyła w dobę taylorizmu, osiągając skuteczność produkcji taśmowej. Miejsce rzemieślnika – amatora zajął robotnik wykwalifikowany stojący przy maszynie. Dziś produkuje się masowo, dba o pełną synchronizację dostawy i zapotrzebowania, zapewnia szybki obieg towarowy. A wszystko to odbywa się w jaskrawym świetle hali targowej. *Gangbang* nie urąga normom. Ukazuje po prostu szaleństwo konsumpcjonizmu wobec przerażającej nieuchronności katastrofy.

W czasach bikini rozrywka zostaje podniesiona do potęgi. Już za Pascala bawiono się setnie, a przecież wtedy chodziło tylko o to, żeby zagłuszyć lęk przed nieuchronnością własnej śmierci. Dzisiaj mamy bombę atomową i tym podobne dobrodziejstwa postępu, dzięki którym zagłada całego rodzaju ludzkiego jest na wyciągnięcie ręki – nic więc dziwnego, że rozrywka musi być szalona. Nie chodzi mi nawet o lęk przed nuklearną zimą. Myślę o panowaniu techniki, która zredukowała nasz świat do tego, co użyteczne i przekształcalne. Wszystko zostało już zatomizowane. Rodan nie jest wijącą się wśród wzgórz, połyskującą tajemnicą, lecz ciekim wodnym służącym dochłodzenia reaktorów. Natura nie przemawia już do nas. Jest po prostu źródłem surowców, które eksploatujemy A więc katastrofa już miała miejsce. Człowiek

obwołał się *homo creator* (i słusznie – czyż nie stworzył bikini Vichy dla Brigitte Bardot? Czyż nie nakręcił *I Bóg stworzył kobietę?*). Jednak jeśli ponad nim niema żadnego bytu transcendentalnego, a wszystko, co istnieje, stanowi pole jego eksperymentów, to on sam staje się również *homo materia*. Jego ciało nie jest już poematem, lecz surowcem. Alkowna zaczyna być częścią laboratorium, poligonem doświadczalnym i rynkiem zbytu dla nowych produktów. Rzadko kiedy ciała łączą się wmiłosnym uścisku, nie oblekwszy się uprzednio w lateksowy wynalazek wyprodukowany zgodnie z międzynarodowymi normami ISO i WHO, nie zabezpieczywszy się najnowszym środkiem plemnikobójczym lub nie wspomógłszy się inhibitorem PDE-5 trzeciej generacji. W alkwie kobieta i mężczyzna nie mają się połączyć, lecz rozerwać.

Wielki nieobecny...

Eksplozja seksu jest równoznaczna z jego zniknięciem. Czytelnik myśli pewnie, że narządy, które decydują o tym, iż jest on istotą posiadającą konkretną płęć, znajdują się na swoim zwykłym miejscu, trochę poniżej książki, którą właśnie czyta. Ależ skąd. Dzisiaj płciowość rozmywa się; trudno ją znaleźć. Niektórzy skarżą się na hiperseksualizację społeczeństwa, na agresywną, nachalną obecność seksu w kulturze. Szczerze wyznam, że gdyby tak wyglądała prawda, byłbym zachwycony. Niestety, nigdzie owego seksu nie znajduję. Co dziwniejsze, pojęciem, które skutecznie zagłuszyło dialog płci, jest „seksualność”.

Seksualność wynaleziono w dziewiętnastym wieku; dowodzą tego słowniki. Wcześniej ten wyraz nie istniał[7]. Kiedy pojawiło się to określenie o mglistej wymowie, płęć, która została do niego przyporządkowana, straciła swoje konkretne znaczenie. Dawniej

orientowano się mniej więcej, o co w tym wszystkim chodzi. W najbardziej eleganckich salonach mówiło się o tym z prostotą. Dobre wychowanie wymagało, by określić swą przynależność do danej płci. W tamtych czasach seks wiązał się nierozdzielnie z liczbą mnogą, jako relacja dwóch płci, męskiej i żeńskiej, przeznaczonych przez naturę do płodnego zjednoczenia. Nazwy płci gramatyka klasyfikuje jako relacyjne, wyrażające cechy niezmiennie, podobnie jak „ojciec” i „syn”. Tak jak syn nie może istnieć bez ojca, płeć nie istnieje bez drugiej płci, pan bez pani, chłop bez baby. Rozbicie wzajemnego przyporządkowania płci prowadzi do ich całkowitego zniszczenia. W katastroficznej strofie przepowiada to Alfred de Vigny:

Niebawem, za murami królestwa horroru
oni wezmą Sodomę, a one Gomorę,
i wzajem siebie mierząc wzrokiem pełnym złości,
umrą płcie obie; każda w swojej samotności[8].

Jak sprawy mają się dzisiaj? Płuca nadal służą do oddychania. Nikt nie podważa roli żołądka w procesie trawienia. A narządy płciowe? Tylko nieokrzesany prostak może jeszcze twierdzić, że ich przeznaczeniem jest prokreacja. Celu ich istnienia zaczynamy szukać gdzieindziej. Do czego to prowadzi? Nie potrafi my już obronić tezy, że seks jest z definicji cielesnym obcowaniem kobiety i mężczyzny. Wątpimy nawet w to, że płeć dotyczy przede wszystkim ciała. Może powinniśmy uznać, że głównym celem istnienia tej sfery jest wzbudzanie w nas wątpliwości? Hipotezy można mnożyć. Faktem jest, że dzisiaj męskie i żeńskie cechy płciowe są ostentacyjnie wystawiane na widok publiczny. Dla jednych stały się bronią, dla innych krzyżem. Ale seks jest wielkim nieobecny...

... w aspekcie płodności

„Annick G. była kobietą, z którą po raz pierwszy odbyłem pełny akt płciowy”[9]. Nikt nie ma problemu ze zrozumieniem, o co chodzi w powyższym zdaniu. I to właśnie jest dziwne, bo jeśli się dłużej zastanowić, sprawa wcale nie jest oczywista. Chcąc pozbyć się wątpliwości, zapytałem autora: „Miał pan dziecko z Annick G.?”. – „Gdyby za każdym razem trzeba było mieć dziecko, akt płciowy bardzo rzadko byłby pełny” – usłyszałem w odpowiedzi. – „Obawiam się, że tak właśnie jest” – przyznałem ze smutkiem, po czym podziękowałem mu za użycie tego wyrażenia, które okazało się podchwytliwe zarówno dla mnie, jak i dla niego – był uczniem Georges’a Bataille’a i wiedziałem, że w jego oczach rozdarcie, a nie kompletność uwzniośla akt.

Czym więc jest niepełny akt płciowy? Z cytowanego powyżej zdania wynika, że jest to czynność, której człowiek oddaje się w samotności. Z reguły w tej samotności aż tłoczno jest od obrazów. Gdyby nawet były to dzieła Renoira czy Courbeta, rzecz pozostaje wyraźnie wybrakowana, ponieważ prawdziwe dopełnienie mężczyzna znajduje w cielesnym obcowaniu z kobietą. Nie dość na tym. Zdrowy rozsądek podpowiada, że istnienie płci męskiej i żeńskiej, ze wszystkimi różnicującymi je cechami, wiąże się z możliwością prokreacji. (Celowo użyłem słowa „prokreacja”, a nie „rozmnażanie”, które za bardzo kojarzy się z powielaniem, właściwym kserokopiarkom i bakteriom mnożącym się przez podział). Przeznaczeniem aktu płciowego jest powołanie do istnienia podobnej nam, lecz odrębnej od nas istoty. W tym celu natura wyposażyła nas w odpowiednie narządy. Po cóż innego mielibyśmy nosić tę całą skomplikowaną aparaturę między nogami i na klatce

piersiowej? Czy nie prościej byłoby, na przykład, przeżywać rozkosz dzięki stymulacji małżowiny usznej? Pełny akt płciowy to akt płodny. Z teściową w tle, z wnukami w perspektywie.

Mówiąc to, ukręciłem bat na własną skórę. Po co upieram się, żeby sprowadzać kolejne pokolenia na ten padół łez? Czy nie słyszałem, że jednym z niebezpieczeństw zagrażających naszej planecie jest nadmierny rozwój demograficzny? Poza tym, jak można upatrywać w płodności dopełnienia człowieczeństwa? Przecież aktywność genitalna upodobnia nas raczej do zwierząt. Każdy wie, że anioły nie płodzą dzieci, tylko obdarzają się nawzajem światłem. Prokreacja na pewno nie stanowi ukoronowania miłosnego zjednoczenia dwojga ludzi, może być co najwyżej wypełnieniem obowiązku, urzeczywistnieniem marzenia albo wpadką. W przyrodzie porządek rzeczy jest następujący: pąk rozwija się, tworząc kwiat, a kwiat w swoim czasie ustępuje przed wspaniałą dojrzałością owocu. Gdyby kwiat miał możliwość zbuntować się wobec praw natury, mógłby zwrócić się przeciwko owocowi. Ale w jaki sposób? Musiałby albo zamknąć się na powrót, albo zamienić się w martwy twór. Ludzki kwiat wydaje się zatem szczególny, skoro jego istotę stanowi fizyczne obcowanie mężczyzny i kobiety, którzy wykorzystują w tym celu narządy rozrodcze, nie doprowadzając jednak do rozrodu. Mimo tego zastrzeżenia, akt płciowy podobno jest pełny. Nasienie nie jest przeznaczone do siania. A poczęcie może nastąpić w próbówce.

...w aspekcie podziału płci

Jak dotąd, zgadzamy się co do tego, że seks jest spotkaniem męskości i kobiecości, drwała i pasterki, księżniczki i rycerza na białym koniu. U Wergiliusza, co prawda, pasterz Korydon cierpi z powodu nieodwzajemnionej miłości do pięknego Aleksisa, jednak bynajmniej nie aspiruje tym samym do „homoseksualizmu”. Ani nawet do małżeństwa. W czasach, kiedy słowa miały sens, „homoseksualizm” oznaczałby tyle, co kwadratura koła. Chlubą pederastii była wolność od seksu, czyli od współżycia z płcią przeciwną i od matrymonialnych zobowiązań. Miłość pederastyczna oznaczała nieskrępowanie pętami Afrodyty i rodzicielstwa. W Dialogu o miłości Plutarcha Protogenes utrzymuje, że miłość do chłopców pobudza do współzawodnictwa, i „kiedy pochwyci młodą i pełną zalet duszę, poprzez przyjaźń doprowadzają do doskonałości”, a nie jest „tylko cielesnym stosunkiem, tak jak miłość do kobiet”[10].

Ten punkt widzenia, choć dyskusyjny, opiera się przynajmniej na jasnych założeniach. Dezaktualizuje się jednak wraz z pojawieniem się pojęcia seksualności. Odtąd można już mówić o homoseksualizmie, nie bojąc się popełnienia błędu logicznego ani językowego. Nie wydaje się, by kogokolwiek raził fakt, iż „homoseksualizm” to neologizm, będący związkiem wbrew naturze, gdyż prefiks grecki łączy się w nim z wyrazem łacińskim. Gdyby bowiem całość wyrażenia była łacińska, „homoseksualizm” oznaczałby seksualność człowieka w ogólności. Takie było domyślne znaczenie tego słowa, kiedy wchodziło ono w użycie w 1891 roku. Nietrudno się domyślić, że „heteroseksualizm” w słownikach pojawił się dopiero trzy lata później, jako dziwna odmiana – żeby nie powiedzieć: wynaturzenie – poprzedniego zwrotu. Kiedy do władzy dochodzi psychologia, okazuje się, że nasza seksualność niewiele ma wspólnego z narządami płciowymi. Jej ośrodkiem jest mózg albo podświadomość, wolna wola, a może język czy też umowa

społeczna. Dokładnie nie wiadomo. W dodatku, nowa poprawność moralna zaleca, żeby nawet stare, pocziwe baśnie oczyścić z wszelkich śladów wstrętnego seksizmu. Niech księżniczka co jakiś czas pomacha szabelką, a księżę zajmie się pucowaniem domku siedmiu krasnoludków. Pozwólmy Księżciu wzdychać do Śpiącego Królewicza, jeśli tak mu serce dyktuje. To powinno zadowolić wszelkie ligi obrony dobrych obyczajów, bo przecież, w gruncie rzeczy, płęć nie istnieje. Istnieje tylko *gender*, rodzaj, jak w gramatyce. Rodzaj określa płęć społeczno-kulturową; jest to konstrukcja stworzona przez tradycyjne instytucje i utrwalona przez język. Zanim nadeszła era wolności, ludziom narzucano takie opresyjne i nieegalitarne normy.

Nie ma mowy, żeby cała ta ideologia zmieściła się w majtkach, ale można ją upchnąć w dzieciennym pokoju. Terror płciowy wkradł się przecież i tam, każąc dziewczynkom bawić się lalkami i garnuszkami, chłopcom zaś samochodzikami. Zdrowe, nowoczesne wychowanie na coś takiego zgodzić się nie może. Dziewczynkę powinno się co drugi dzień ubierać na niebiesko, a chłopca na różowo. Jeśli dzieci miałyby chęć pobawić się w dom, należy dopilnować, żeby regularnie zamieniały się rolami mamy i taty. Nauczą się w ten sposób, że są to jedynie stworzone przez społeczeństwo funkcje, a nie rzeczywiste tożsamości. Byłoby jeszcze lepiej, gdyby udało się zachęcić dzieci do zabawy w nowoczesny, otwarty związek niezależnych partnerów, równych wobec prokreacji, zgodnie doglądających sztucznej macicy (sklepy z zabawkami mogłyby wprowadzić do oferty nowy produkt, najlepiej z przezroczystego plastiku, z widocznym wewnątrz płodem). Optymalnym rozwiązaniem byłaby możliwość wyboru własnej płci jeszcze przed narodzeniem. Albo wynalezienie sztucznej macicy wyposażonej w funkcję produkcji dzieci pozbawionych płci. Im bardziej byłyby nijakie, tym większa byłaby ich wolność; swobodnie mogłyby się

zadeptywać. Likwidacja różnic płciowych prowadzi kobietę i mężczyznę do rywalizacji mimetycznej. Odrzucając pozorną nierówność, skazują się na totalną rywalizację.

...w aspekcie cielesności

W tym punkcie naszych rozważań wciąż jeszcze mówimy o akcie fizycznym. Wciąż jeszcze chodzi o splatające się ze sobą ciała, o ciepłą wilgotność i intymny zapach. Cielesność potrafi jednak niemile zaskoczyć. Nie każdy zapach jest przyjemny, narządy mogą odmówić posłuszeństwa w najmniej odpowiednim momencie, pościel trzeba uprać, pigułka okazuje się gorzka... Bywa, że ciało bardzo nam ciąży, podczas gdy wytwory wyobraźni zawsze są lekkie jak piórko, stuprocentowo higieniczne i wciąż świeże. Wiadomo przecież, że „nie chodzi o to, żeby złapać króliczka, ale żeby go gonić”.

W sferze fantazji obiekt pożądania zawsze pozostaje nienaruszony. Jeśli możemy go osiąść jedynie w wyobraźni, nie ryzykujemy rozczarowania rzeczywistością ani konfrontacji z niewygodną odpowiedzialnością. Gdy chcemy zdystansować się wobec cielesności, mamy do dyspozycji sentymentalizm i pornografię. Jedno i drugie stanowi idealizację rzeczywistości. Nie ma już samej rzeczy, kapryśnej, zdolnej zaskoczyć w miły bądź niemiły sposób. Zastępuje ją odcieleśniony surogat, bezwonny, dający się zaprogramować i spełniający oczekiwania, dotyczące czy to romantycznych uniesień, czy też prymitywnej żądz. Tak samo niezawodny w dziedzinie ulotnych namiętności, jak i wtedy, gdy interesuje nas moc i wydajność hydrauliki. Nie znaczy to, że sentymentalizm i pornografia zgodnie idą w parze. Wręcz przeciwnie. Ona zarzuca mu, że jest pretensjonalny w

swoim dążeniu do przemienienia ludzi w aniołów, on gardzi nią za to, że wszystko sprowadza do zwierzęcej fizjologii. Mimo iż zajmują stanowiska przeciwne, romantyczka i wzrokowiec mają ten sam cel – uwolnić się od często kłopotliwej obecności ciała, nieprzewidywalnego w swoich reakcjach i niepoddającego się kontroli. Oboje od życia wolą kino.

Ciało, jakie jest, każdy widzi. Swój wygląd zawdzięcza pokrywającym kośćciec i mięśnie czterem warstwom tkanki – podstawnej, kolczystej, ziarnistej i rogowej. W skórze właściwej kryje się system receptorów nerwowych. Nasze zmysłowe wrażenia to nic innego, jak proste bodźce. Nie ma takich uniesień, których nie dałoby się zaprogramować. Dążąc do maksymalnej przyjemności, najlepiej więc podpiąć bezpośrednio do neuronów odpowiednią aparaturę. „Monitor posiada hipnotyczną moc wprowadzania w odmienne stany świadomości. Użycie komputera angażuje więcej obwodów mózgowych niż kontakt fizyczny. Z prostego powodu – komputer i mózg działają na tych samych zasadach. (...) Cyberseks polega na optymalnym wykorzystaniu potężnych narzędzi obróbki myśli i komunikacji, aby spełniały najistotniejsze zadanie na tym etapie rozwoju ludzkości”[11].

Na tym etapie rozwoju ciało staje się więc przeżytkiem. Dlaczego zgadzać się, by nas więził, już na zawsze, jeden i ten sam worek ze skóry? Informatyka, dzięki wirtualnym przeszczepom, może sprawić, że liczbą członków dorównamy hekatonchejrom, a liczbą otworów ementalerowi. Cóż za niewypowiedzianie fascynująca perspektywa! W mieście przyszłości powstaje „nowoczesna aparatura neurologiczna, która uaktywnia konkretne strefy mózgu, umożliwiając tworzenie »symfonii erotycznych«. Specjalni dyskdzokeje dobierają i przetwarzają najróżniejsze motywy zaczerpnięte z rzeczywistości ludzkiego życia,

tworząc swoiste kompozycje złożone z rozmaitych, przyjemnych i rozkosznych doznań”[12]. Minęły czasy powolnego uwodzenia, przysięg na śmierć i życie, którymi bałamuciło się dziewczynę tylko po to, żeby porzucić ją następnego ranka. Teraz wystarczy jedno kliknięcie, a dostajemy wszystko, i to w sposób najzupełniej uczciwy – bo przecież nikt nie zostaje pokrzywdzony. Odkąd Laura stała się zbiorem pikseli, cóż z tego, że jest żoną innego mężczyzny? Cyber-Petrarka może cieszyć się nią dowoli, opiewając swoje uczucie w zupełnie nowej Pieśni:

Cóż, żeś innemu wierność ślubowała
Jeżeli sieci pełno twego ciała?
Niech więc twe wdzięki zero-jedynkowe
Ujmę dziś łączem szerokopasmowym...

...w swoim dramatyzmie

Wyeliminowaliśmy już prokreację, wyszliśmy poza ciasne horyzonty podziału na płcie, uwolniliśmy się nawet od ograniczeń ciała. Czy sterylny i odcieleśniony seks zachował jeszcze jakikolwiek dramatyzm? Czy przeżywa się go jako rozdarcie? Nawet jeśli tragedia Romea i Julii musi ustąpić baśni o złej królowej i jej magicznym lustrze, nadal jest to tragedia. Ale młodzieniec, któremu w chwilach rozkoszy towarzyszą jedynie podrasowane graficznie obrazki, nie zniesie rzeczywistego kontaktu z kochającą dziewczyną. Byłoby to pogwałceniem wszystkich jego przyzwyczajzeń. Czy dziewczyna nie wie, że obrazki są dostępne dla każdego i nie stawiają wymagań? Jak śmie napastować go, narzucając swoją żywą, cielesną obecność? Dlaczego drażni tę część jego natury, nad którą nie ma on żadnej kontroli? Alternatywa jest następująca:

albo chłopak przestraszy się i odepchnie dziewczynę, albo rzuci się na nią jak drapieżnik na zdobycz. Elias Canetti pokazuje, że niedaleka jest droga od lęku przed bliskością do szalonego podniecenia sfory[13]. Ten, kto obcował dotąd wyłącznie z duchami, nie potrafi postąpić inaczej. Musi stłamsić to nieprzystojne uczuciowe przywiązanie, które pojawiło się z bezwstydną bezpośredniością, a nie za sprawą naciśnięcia odpowiednich przycisków na klawiaturze. Musi rozprawić się z tymi wilgotnymi ustami, w których próżno szukać portu USB, i z zachłannymi palcami, których nie da się okiełznać kliknięciami myszki. Szykuje się przerażający dramat!

Dramat? Tego właśnie trzeba za wszelką cenę uniknąć. Czyż seks nie ma być przede wszystkim przyjemny? I zdrowy, bo to najważniejsze? W dokumencie, który zdaje się stanowić ukoronowanie Deklaracji Praw Człowieka, Światowa Organizacja Zdrowia stwierdza: „Zdrowie seksualne polega na wolnym i odpowiedzialnym wykorzystywaniu zdolności seksualnych, które służą zwiększaniu osobistego i społecznego dobrostanu i wzbogacają życie jednostki oraz społeczeństwa.(...) Nie jest to tylko wolność od chorób, niedomagań czy dysfunkcji seksualnych. Aby zdrowie seksualne było utrzymywane, prawa seksualne wszystkich osób winny być respektowane, chronione i egzekwowane”[14]. Każdy więc obywatel, który osiągnął dojrzałość płciową, powinien mieć zagwarantowany dostęp do kopulacji, tak samo jak do pożywienia czy do aspiryny. Każda Lady Chatterley powinna dostać jakiegoś gajowego, oczywiście z przepisu lekarza. Za wykonywanie „zastrzyków podskórnych” gajowy byłby oczywiście opłacany z Narodowego Funduszu Zdrowia. Jeśli chodzi o postęp w tej dziedzinie, palmę pierwszeństwa dźrzy Holandia. Tam już dwunastoletnie dziecko chciano uznać za zdolne do wyrażenia ważnej prawnie zgody na czynności seksualne z inną osobą, która również wyraża na to zgodę[15]. Jeśli rodzice dziecka sprzeciwialiby się

wykonywaniu przez dziecko tych czynności, mieliby obowiązek wykazać wobec Rady do Spraw Ochrony Praw Nieletnich, że ich działanie rzeczywiście leży w interesie potomka[16].Dzięki temu wszyscy Holendrzy mogliby zaznać „osobistego i społecznego dobrostanu”, nieważne, że ich rodziny podzielone byłyby przez procesy sądowe.

Pogląd, że seks to rzecz poważna, jest pozostałością jakichś judeochrześcijańskich zabobonów. Gdy Georges Bataille mówi, że erotyzm jest jak rana, poprzez którą oddzielone byty ludzkie komunikują się ze sobą w sposób gwałtowny, Étiemble zarzuca mu „odwrócone chrześcijaństwo” i związaną z nim fascynację parą *eros – tanatos*. Prawdziwy erotyzm jest przecież miły, zwiewny i niewinny[17]. Nawet markiz de Sade wydaje się zbyt katolicki. Musimy przestać tak dramatyzować. Wyobraźmy sobie rześki wiosenny poranek, gdy powietrze pełne jest kwiatowych pyłków i przesycone wonią żywotnych soków, „tajemne przebudzenie kwietnia i maja, zew płci rozsianej w całej naturze wzywający cicho do namiętności, szepczący namowy zawrotne”[18]. Nie wahajmy się więc naśladować kwiatów w ich prostocie – obnażajmy się w pełnym słońcu. Bądźmy prostoduszni jak gołąbki i wskakujmy na siebie bez wahania. Przyszła czystość obyczajów polegać będzie na wtopieniu się w tę „jedną wielką i niekończącą się orgię... A w przerwach trochę kina”.

Ciało jamiste tkwi wciąż na dnie jamy. Jest zaledwie cieniem cienia na ścianie jaskini.

Nie rozmawiamy już nawet o seksie aniołów – seksie odcieleśnionym, który nie może prowadzić do zajścia w ciążę, nie wpisuje się w żadną mniej lub bardziej dramatyczną historię życia i pozbawiony jest intymności, abstrahuje od męskości i kobiecości, trzyma się z dala od małżeństwa czy obrzezania (duchy czyste nie mają przecież napletka). Nie – nawet anioły są jeszcze zbyt konkretne. Zresztą i tak nie wierzymy w ich istnienie. Dzisiejszy seks możemy raczej porównać do słynnego noża Lichtenberga – „noża bez rękojeści, któremu brakuje ostrza”. Niewiele można zdziałać takim nożem...

Smutek hedonizmu

Dlaczego ta sztuczka ze znikaniem miała by się nam nie podobać? Dywagacje, czym tak naprawdę jest życie płciowe, ani nas ziębią, ani grzeją. Ważne, aby seks serwowany był na gorąco. Chodzi przecież o to, żeby nacieszyć się życiem, aż do upojenia zaznać rozmaitych rozkoszy. Hedonizm? Jestem za! O wiele bardziej niż do chóru jęczydusz, ciągnie mnie do wesołej kompanii. Jaki sens ma życie w zawieszeniu, spędzone na wpatrywaniu się w dość mglistą perspektywę wieczności? Ja wolę żyć tu i teraz. Wybieram konkret, skupię się więc na obdarzonej zmysłami glinie, którą jestem. Tak się szczęśliwie składa, że żyję w czasach Mistrza Onfraya. Nie pobłędzę, jeżeli będę podążał za wskazówkami myśliciela, którego w letnie wieczory można posłuchać w radiu France-Culture. Na pierwszy rzut oka nie wygląda on może najradośniej, no i zawsze nosi się na czarno, co przywodzi na myśl laicką wersję sutanny. W dodatku określa się jako nietzscheanista i zarazem lewicowy hedonista, co wydaje się podwójnie sprzeczne. Ale

na pewno nie dla niego; widocznie patrzy on z tak wysoka, że dostrzega, jak zbiegają się linie, które mnie, stojącemu w dolinie, zdają się rozchodzić w przeciwnych kierunkach.

Mój entuzjazm wobec Mistrza O. szybko zostaje sprowadzony do rozsądnych granic. Bo oto już na wstępie słyszę od niego, że przyjemność przyjemności nierówna. Zbyt upojne noce kończą się porannym kacem. Piękna nieznajoma, napotkana wieczorową porą, o świtaniu przechodzi metamorfozę – gdy nieznajomy nasyci się już jej wdziękami, staje się ona uprzykrzonym stworem, który męczy go swoją obecnością. Czułość szybko potrafi się przejeść, apożądanie – zamienić w niesmak. Wiedzieli o tym Rzymianie, i dlatego urządzając uczyty dbali, żeby do womitorium nie było zbyt daleko. Wystrzegajmy się więc szybkich i łatwych przyjemności, jeśli w rezultacie mają one na nas ściągnąć owiele dotkliwsze przykrości. „Hedonizm zakłada ciągłą kalkulację, pozwalającą w danej sytuacji przewidzieć szanse zaznania przyjemności, ale też ryzyko doświadczenia nieprzyjemności”[19]. A niech to! Miałem nadzieję, że będzie lekko, łatwo i przyjemnie, a tymczasem dowiaduję się, że trzeba mi zostać wyrachowanym, drobiazgowym księgowym.

Mistrz O. odgaduje moją rozterkę. Chcąc rzecz ułatwić, proponuje wczesną naukę sporządzania bilansu przyjemności i przykrości. Nazywają „tresurą neuronów”. Termin ten, choć zapożyczony z wybiegu dla zwierząt, staje się nową definicją etyki, etyki prawdziwie ludzkiej, bo przecież „etyka nie jest sprawą duszy, lecz ciała”[20]. Ciało – proszę bardzo, ale neurony? Nagle łapię się na tym, że w pojęciu ciała szczególnie podoba mi się jego pełna życia spójność, jego niepodzielna obecność, a więc – wykrztuśmy to z siebie – dusza, która przesącza się przez całe jego jestestwo. Wsłowie „ciało” jest jakiś majestat, właśnie

dlatego, że ma ono w sobie bardzo wiele ducha. Ale gdy rozłoży się je na obwody i podzespoły sterowane mózgiem, ciało traci cały swój splendor. Zastanawiam się, czy mózg nie występuje dziś w roli niegdysiejszej duszy, wyniosłej i władczej, która górowała nad ciałem i ujarzmiała jego plastyczną zmysłowość. Odkąd materializm popadł w ten rodzaj cerebrazizmu, nie wydaje się lepszy od żenującego spirytualizmu. Tyle tylko, że miejsce świata duchowego zajęła biomatematyka. To, co czytam dalej, potwierdza niestety moje niemiłe przeczucie: „Człowiek, którego spotykamy, nie jest Twarzą – za przeproszeniem personalistów, uczniów Lévinasa! – lecz jedynie sumą impulsów nerwowych przewodzonych przez sieć neuronową”[21]. Czyli sam Mistrz O. jest tylko epifenomenem procesów fizykochemicznych zachodzących w jego mózgu, które mój mózg rejestruje? A ja chciałem wziąć go w ramiona, nazwać mistrzem i nauczycielem, i powiedzieć mu: „Kocham cię”. Dostyc tego, trzeba zerwać ze słodkim gaworzeniem pozbawionym konkretnych treści. „Kocham cię” musi odejść do lamusa. Dziś trzeba wyrażać się racjonalnie: „Kora nowa mojego mózgu, która tworzy moje »ja«, jest pobudzona aż po ośrodek Broki impulsami nerwowymi, jakie wywołało antropoidalne skupisko atomów, dla ułatwienia zwane »Tobą, Michelu...«”.

Na szczęście Mistrz O. proponuje także „erotykę solarną”. Liczę na to, że jego mózg jakoś się ogarnie, odnajdzie pozostałe organy, odzyska być może nieco splendoru. Program jest zachęcający – drastycznym wymaganiami, jakie narzuca związek monogamiczny, mamy pokazać figę. Od teraz wszystko opierać się będzie na umowach na czas określony. Gdy grupa osób ustali zgodnie, że w jej ramach każdy kopulować będzie z każdym – nie ma przeszkód. Gdy wchodzimy w związek, wyznaczamy czas jego trwania – powiedzmy, na trzy tygodnie. Oto prawdziwa wolność. Niestety, człowiek nie zawsze wie, czego chce. Umawia się na trzy tygodnie, a potem nagle się wymawia, bo wolałby,

żeby to było na całe życie, albo na pół godzinki. Orgietka trwa w najlepsze, a jemu nagle przychodzi do głowy, że właściwie wolałby poczytać Hegla, albo że byłoby miło, gdyby do uciech dołączył ulubiony piesek, który żałośnie popiskuje za drzwiami. Jak sprawić, aby przyjemność wciąż trwała, nie raniąc nikogo? Mistrz O. stawia warunek selektywny: „Ta idealna konfiguracja etyczna i estetyczna zakłada uczestników na odpowiednim poziomie. Muszą oni jasno uświadamiać sobie własne pragnienia, nie mogą być chwiejni, zmienni ani niezdecydowani, nie mogą też borykać się ze sprzecznościami i wlec za sobą nierozwiązanych spraw, lecz powinni odznaczać się spójną osobowością, oraz racjonalnym i konsekwentnym sposobem myślenia”[22]. Jednym słowem – żeby było nam wolno wziąć udział w orgii, musimy być świętymi.

Gdybyż tresura neuronów na tym się kończyła... Ale nie. Dowiadujemy się, że aby zostać hedonistami, trzeba nam „wykorzeńić do reszty to, co mamy w sobie ze ssaków”[23]. Celem jest „zapewnienie tryumfu ludzkiej woli”, poskromienie „starego ciała, całkowicie uległego wobec dyktatów natury”[24], jednak nie za pomocą włosienicy idyscypliny (mogłoby to, ozgrozo, upodobnić nas do dawnych ascetów!), ale dzięki technice i jej wspaniałym zdobyczom. Nadzieję należy pokładać przede wszystkim w „transgenezie”, czyli w manipulacjach genetycznych. I tu zaczyna się pełen dualizm. Bo co prawda udało się nam przegonić staroświecką duszę, ale jej miejsce oddaliśmy technokratycznej woli, aby ona teraz ciemniżyła ciało, „stare ciało”, którego nienawidzimy do tego stopnia, że marzy się nam jego mutacja.

Głosząc „metafizykę jałowości”, mój biedny nauczyciel, który wierzy, że jest motkiem zapętłonych synaps, daje mimochodem wyraz swojej desperacji: „Czy życie naprawdę jest czymś tak wspaniałym, radosnym i

dającym szczęście, zabawnym, łatwym i wartym tego, żeby chcieć podarować je w prezencie potomstwu człowieka?”[25].

Drogi Mistrzu O., co się stało, że zaczął pan tak negatywnie odnosić się do życia? Przecież mieliśmy wstąpić w związek amatorów rozkosznych chwil zapomnienia, a teraz twierdzi pan, że ziemską egzystencja zasadniczo nie jest wesoła, a urodzić się – to przekleństwo.

Jak pana teraz odróżnić od dawnych manichejczyków?

To było do przewidzenia. Jeżeli ktoś ugania się za przyjemnościami, to po prostu dlatego, że stracił radość życia. Mnoży podboje, obnażając coraz bardziej swoją niemożność czerpania satysfakcji ze związku z jedną kobietą. Sprowadził wszystko do cielesnych podniet, a teraz tyranizuje własne ciało, które nie jest w stanie dotrzymać kroku jego apetytom. Hedonizm jest rodzajem despotyzmu. Przestrzegał przed tym Lacan: „Superego jest imperatywem rozkoszy – szczytuj!”[26]. Najokrutniejszy kapo, chcąc do końca sponiewierać człowieka, nie mógłby poddać go bardziej perfidnej torturze. Hedonista cierpi na przerost superego. Wspierając się na technice, goni za przyjemnością, a ograniczenia ciała jawią mu się jako wieko od trumny. Sam nie wie o tym, że jest gnostykiem. Słońce jego „erotyki solarnej” niczego nie oświetla, w jego promieniach nie rozwija się życie. Jest to słońce zimne, które zatrzymuje nasienie swojego światła. Inaczej mówiąc – czarna dziura.

Fabrice Hadjad

[1] Louis-Ferdinand Céline, Podróż do kresu nocy, przeł. O. Hedemann, Świat Literacki, Izabelin 2005, s. 268.

[2] Blaise Pascal, Myśli, przeł. T. Żeleński (Boy), PAX, Warszawa 1989, s. 39.

[3] Elwin Verrier, Maisons des jeunes chez les Muria, cyt. za: Michel Maffesoli, Histoire des moeurs, t. 2, Gallimard, Paryż 1991, s. 924.

[4] Watsjajana Mallanaga, Kamasutra, czyli traktat o miłowaniu, przeł. M.K. Byrski, PIW, Warszawa 1985, s. 68.

[5] Monteskiusz, O duchu praw, przeł. T. Żeleński (Boy), Antyk, Kęty 1997, s. 357.

[6] Zob. Günther Anders, Die atomare Drohung. Radikale Überlegungen, C.H. Beck, Monachium 1981.

[7] Więcej na ten temat w książce Arnolda I. Davidsona The Emergence of Sexuality: Historical Epistemology and the Formation of Concepts, Harvard University Press, Cambridge 2002.

[8] Alfred de Vigny, La colère de Samson, w: O Euvres complètes, t. 1, Gallimard, Paryż 1950, s. 197.

[9] Jacques Henric, *Politique*, Seuil, Paryż 2007, s. 36.

[10] Plutarch z Cheronei, *Moralia* (wybór), t. 1, przeł. Z. Abramowiczówna, PWN, Warszawa 1977, s. 311–314.

[11] Timothy Leary, *Technique du chaos* [tyt. oryg. *Chaos and Cyberculture*], *L'Esprit Frappeur*, Paryż 1998, s. 76, 90.

[12] Marcela Iacub i Patrice Maniglier, *Antimanuel d'éducation sexuelle*, Bréal, Montreal 2005, s. 310.

[13] Zob. Elias Canetti, *Masa i władza*, przeł. E. Borg, M. Przybyłowska, Czytelnik, Warszawa 1996.

[14] Światowa Organizacja Zdrowia, zdrowie seksualne według definicji roboczej WHO z roku 2002, cyt. za: polski serwis naukowy www.naukowy.pl.

[15] Był to projekt partii Miłość, Wolność i Różnorodność – przyp. red.

[16] M. Iacub, P. Maniglier, *Antimanuel d'éducation sexuelle*, s. 300–301.

[17] René Étiemble, *L'érotisme et l'Amour*, Arléa, Paryż 1978, s. 37–38.

[18] Victor Hugo, Człowiek śmiechu, t. 2, przeł. H. Szumańska-Grossowa, Książka i Wiedza, Warszawa 1953, s. 56.

[19] Michel Onfray, La Puissance d'exister: manifeste hédoniste, Grasset, Paryż 2006, s. 113.

[20] Tamże, s. 103.

[21] Tamże, s. 105.

[22] Tamże, s. 138.

[23] Tamże, s. 108.

[24] Tamże, s. 183 i nast.

[25] Tamże, s. 134.

[26] Jacques Lacan, Encore, Seuil, Paryż 1975, s. 11.